

sumiennie, gorliwie, a nadewszystko chętnie. Nietylko uczył, ale oświecał, pomagał, doradzał.

Chłopa nie idealizował, nie ciągnął na zawrotne wyżyny, ale przemawiał do niego prosto, szczerze i uderzał w zrozumiałe mu struny.

A przedewszystkiem za pracę swoją wytrwałą i gorliwą nie żądał od nikogo wdzięczności.

Na tem tle przychodziło nieraz do sprzeczki pomiędzy Michnikiem a jego kolegami i koleżankami często silnie rozgoryczonymi.

— My oddajemy chłopu wszystko — mówiła pewnego razu młoda nauczycielka — najpiękniejsze lata młodości, zdrowie, siły, energię, pracę, inteligencję... Zamykamy się w zapadłym kącie, gdzie z konieczności trzeba zaśnieść... A co za to mamy?... Żadnej wdzięczności, tylko szykany, grymasy, dasy, prześladowania, plotki i obmowy... Na każdym kroku kamienie pod nogi nam rzucają.

— A któż panią tutaj przemocą trzyma? — odrzucił wówczas szorstko Michnik. — Patetyczne ofiary i poświęcenia zbyt częste są w jakimkolwiek zawodzie... To, co się robi, czyni się dla własnego zadowolenia i jakiejś myśli przewodniej... Jeżeli się wyteżę trochę ponad szablón, to jeszcze nie powód, żebym miał żądać natychmiastowej nagrody w postaci pochwał, podziękowań, albo... garnuszka masła!

Obrażona koleżanka przerwała rozmowę i od tego czasu nie odzywała się o Michniku inaczej, jak „gbur“, „cham“...

Wogóle Michnik nie cieszył się popularnością wśród koleżanek-nauczycielek i sam trzymał się od nich z daleka...

Młodsze traktowały go trochę z góry, bo był cichy, nieśmiały, niezgrabny i ubierał się niedbale. Starsze, przeważnie zgorzkniałe i opryskliwe, nie pociągały go wcale.

Pomimo, a może właśnie dla bezinteresowności pracy młodego nauczyciela, chłopci zalesińscy umieli go ocenić... Odczuwali to doskonale, że on nie schodzi do nich, jak „z łaski“, ale obcuje jak z równymi, równy tylko mądrzejszy.

Mieszkańcy Zalesinek naogół byli butni i czupurni, lubili się procesować i prowadzić wieczną wojnę z władzą gminną, z proboszczami i nauczycielami.

Michnik jednak zdołał sobie wyrobić taką wśród nich powagę, że ufali mu bezwzględnie.

Jeżeli jakieś dziecko przychodziło ze szkoły z płaczem, skarżąc się, że je pan nauczyciel Michnik ukarał, wówczas ojciec lub matka mówili:

— Pan nauczyciel Michnik cię ukarał?! Toś ty tam musiał dobrze przeskórzyć... A ty zbereźniku jeden — ino mi bec, to ci jeszcze dołożę!...

Jeżeli to samo przydarzyło się innemu nauczycielowi czy nauczycielce, chłopci gotowi byli wnosić skargę do kierownika, do starostwa, do Rady szkolnej, do ministerium, do samego „cysorza“ nawet.

Równie, jednostajnie płynęły młodemu nauczycielowi dni, wypełnione po brzegi obowiązkiem i pracą. Urozmaicenie życia występowało niekiedy w postaci ostrego starcia z kierownikiem szkoły, zeszytniałym w swojej rutynie biurokratycznej, kiedy indziej znów jako przygodna hulanka lub przelotna, nieciekawa miłośćka, po której niesmak zostawał.

Kiedy fala inwazyi rosyjskiej odplynęła z tych okolic, a do dworu przyjechała Anielka z mężem — Michnik pozyskał miłe towarzystwo.

Kazimierz Walczak prędko ocenił młodego nauczyciela, zaczął go odwiedzać i zapraszać do siebie, toczył z nim długie, ożywione rozmowy i dysputy.

Wówczas to w szarą przedzę życia młodzieńca wpłatało się coś zupełnie nowego. Zamigotał mu świetniami, tęczowemi skrzydłami barwny motyl — piękny kwiat odrzucił go swoją upojną wonią...

Władysław Michnik poznał we dworze zalesińskim Józję.

Poznał i zakochał się w niej ślepo, szalenie, bez pamięci.

W piersi tego cichego, spokojnego, zda się, zupełnie zrównoważonego człowieka rozpały się żary, które go jeły pożerać — rozbudziły się w nim tęsknoty i pragnienia, których istnienia nie przypuszczał dawniej.

Nie widział nigdy dziewczyny tak pięknej, tak niepokojąco, niezwykłe uroczej. Olsniła go swoją pięknoscia, ujarzmiła kaprysami i kokieterią, zniewoliła spojrzeniem niebieskich oczu, które miały patrzeć to łagodnie i jakoś melancholijnie, to znów figlarnie i zalotnie.

Józja wtargnęła w jego życie, jak uosobienie piękna, jak wcielenie kobiecości zwycięskiej i promiennej, a szarpiącej, uroczej, a kapryśnej i zmiennej.

Pierzchnął spokój Władysława, odbiegł go nawet dawny zdrowy sen. Nocami miewał się na swoim łóżku, dręczony palącym pragnieniem, szaloną tęsknotą, a we dnie gonił za Józją, szukał jej, aby ją choć zobaczyć, choć dźwięk głosu jej usłyszeć.

A że to był człowiek o silnej woli i prostej linii życia, więc powtarzał sobie z uporem:

— Ona musi! Musi być moja!...

Przestał się interesować tem, co go dawniej najżywiej zajmowało, zobojetniał na wszystko, co nie było Józją.

Dziesiątki razy chciał już wyznać jej swoją miłość, wypowiedzieć pragnienia, ale Józja wyslizgiwała mu się zawsze to żartem, to śmiechem, to wymijającą odpowiedzią, albo mroziła go nagle i odpychała zimnem spojrzeniem czy ostrem słowem.

Zaczęły się dla Michnika dni cierpienia i udręki, przepłatane krótkimi chwilami szczęścia, kiedy Józja była w dobrym usposobieniu i raczyła go łaskawie traktować.

Sprytna dziewczyna prędko zrozumiała swoją przewagę i nadużywała tej władzy, bawiąc się uczuciem Władysława, jego nieśmiałością i zakłopotaniem.

W gruncie rzeczy Józja lubiła bardzo młodego nauczyciela. Pomimo płochości swojej, miała w sobie pewien zdrowy instynkt, który ją pociągał zawsze do ludzi dobrych, o wyższej wartości wewnętrznej, a odrzucał od kobiet obłudnych i złośliwych i mężczyzn podobnych Żarnickiemu. Niemniej ta sympatya, jaką powzięła dla Michnika, nie przeszkadzała jej wcale maltretować go i dręczyć nieraz z wyrafinowanym okrucieństwem.

Zręcznie umiała podsycać w nim zazdrość, utrzymywała go w ciągłej niepewności, przerzucała od nadziei do rozpacz, naprzemian pociągała ku sobie i odrzucała, wabiła spojrzeniem a raniła słowami.

Pewnego razu Józja kaprysami swoimi doprowadziła Michnika do tego, że biedny chłopak wyszedł z pokoju bez pożegnania, zaciskając zęby, aby nie wybuchnąć płaczem.

Obecna przy tej scenie Walczakowa zaczęła Józję robić surowe wymówki.

— Tak się nie postępuje, moja Józju... Z serca ludzkiego nie robi się zabawki... To jest równie bezmyślne, jak szkodliwe i okrutne... Jeżeli masz dla niego jakie żywsze uczucie, to przestań go dręczyć, jeżeli nie, daj mu to do poznania wyrażnie i stanowczo, ale nie ludź go fałszywymi nadziejami...

Józja, zwykle bardzo czuła na każdą uwagę, tym razem okazała się niewzruszoną. Wyrobiła ona sobie już w tym kierunku swoją własną filozofię.

— Ech! Anielko — odpowiedziała z niedbałym uśmiechem — nie lituj się ty nad mężczyznami. Oni tego nie warci! Każdy z nich zdepcze bez litości serce kobiety oddane mu, kochające, a będzie się włóczył u nóg takiej, która go kopie... Kobiety, które najsilniej kochają, są zawsze najnieszczęśliwsze! Walczakowa zdumiała się.

— Ależ Józju, skąd ty o tem wiedzieć możesz?! Skąd u ciebie takie poglądy? To są przedewszystkiem krańcowe uogólnienia... każdy... zawsze.

— No, może nie każdy, nie wszyscy, nie zawsze, ale ogół... Twój mąż należy zdaje się do wyjątków, chociaż... Powiem ci szczerze, że ja żadnemu mężczyźnie nie ufam zbyttnio...

— Czy ty przypadkiem nie za wiele czytasz powieści n. p. Zapołskiej... Pamiętaj o tem, że w powieści nawet najlepszej, pewne objawy życiowe są przejawskrawione.

Józja posmutniała i spoważniała. Podeszła do okna i spoglądając przez szyby, o które drobnymi kroplami sieł deszcz, odpowiedziała:

— Ej, nie!... Ja tego z książek nie czerpię... W życiu bywają stokroć gorsze rzeczy niż w powieściach... Wiesz, ty jesteś daleko mądrzejsza odemnie, ty jesteś wykształcona, ja mało co umiem, ale o tych złych rzeczach w życiu, to ja wiem więcej od ciebie... Tyś się chowała tutaj na wsi, w takiej czystej atmosferze, pod troskliwą opieką, a ja... Dziewczyna miejska, puszczona samopas, pozbawiona matczynej opieki i miłości, wzrastalam pod wpływem służących i rozmaitych koleżanek, o! bardzo rozmaitych!... Patrzałam na wiele rzeczy i wczesnie zaczęłam rozumieć... Zresztą pamiętam, jaki był los mojej matki... Pokażę ci jej fotografię z czasów narzeczeństwa... Młoda była i śliczna, jak anioł... Kochała mego ojca szczerze, serdecznie, głęboko; wybrała go z pośród kilku innych i miłość tę zdaje się zachowała aż do końca swego smutnego życia... No, a wiesz przecie, ile przecierpieć musiała... Albo inny wypadek: W sąsiedztwie naszym mieszkało małżeństwo. Jako dziecko chodziłam tam często, bo bardzo lubiłam dobrą, miłą, młodą panią... A jak ona kochała swojego męża, to już nie wyobrażam sobie, żeby można kochać więcej... Ciagle o nim mówiła, na innego mężczyznę to nawet nie popatrzyła się, mężem tylko żyła i dla niego... Myślisz, że on to umiał choć trochę ocenić? Gdzie tam!... Dokuczał jej na każdym kroku!... Nie mógł zapomnieć tego, że przed kilku laty szalał za jakąś awanturnicą, która z niego drwiła i wystrychnęła

go na dudka... Na żonie mścił się za wszystkie zniewagi, jakich doznał od tamtej. W końcu żonę porzucił i poleciał za tamtą, kiedy tylko palcem skinęła na niego... A biedna pani płakała i płakała... Wówczas nie wiele rozumiałam, o co chodzi, ale teraz tak mi to wszystko staje przed oczyma...

— Ależ to są wyjątkowe wypadki, z których nie można wyciągać wniosków ogólnych...

— Nie! To nie są wyjątkowe wypadki... Tacy są mężczyźni!... Weź choćby mnie samą! Ja Konrada kochałam prawdziwie, on jeden mógł ze mnie zrobić dobrą kobietę... No i cóż? Tyranizował mnie, a najczulszym, najtkliwszym był wtedy, kiedy się w nim budziła zazdrość... A później, kiedy się do niego zwracałam z taką tęsknotą, z takim upragnieniem, jak do kogoś najmilszego, najbliższego na całym świecie, wtedy spotkałam się z obojętnością, odczułam tyle znudzenia, że musiałam zerwać!... Rozumiesz, nie chciałam, ale musiałam!...

Zalał się głos dziewczyny. Rozpalone czoło przycisnęła do szyby.

Długą chwilę panowała milczenie.

— Chociażby w tem, co mówisz, było dużo słuszności, to ciebie jeszcze nie usprawiedliwia... — wyrzekła wreszcie Walczakowa. — Cóż ci winien Michnik? Ja sądzę, że on właśnie z tych jest mężczyzn, którzy kobietę kochającą ocenić są zdolni...

— Może... Więc niech cierpi za innych, choć kto wie, czy i on jakiej kobiety nie ma, lub nie będzie miał na sumieniu... Jeżeli go dręczę czasem bezwiednie, to zaledwo drobną część tego oddaję. co cierpią kobiety i co przecierpieć będą musiała ja sama, jeżeli znowu zapanuje nademną miłość...

Anielka nie odpowiedziała nic. Zamyśliła się. Zastanowił ją ten szczególny feminizm Józji, którego istnienia nie przypuszczała wcale.

Kiedy skończyła się nauka w zalesińskiej szkole, Michnik przyszedł pożegnać się do dworu. Nauczyciel miał na jakiś czas pojechać do rodziców. Walczył ze sobą, ciężko mu było choćby na tydzień wyrzec się widoku Józji, ale stara, słabowita matka tak bardzo prosiła...

— Jak to, pan wyjeżdża? — zawołała wówczas Józja — Szkoda...

— Pani wołałaby, żebym został? — zapytał Michnik z bijącym sercem.

— Może... może... — szepnęła dziewczyna, rzucając mu prześliczny, czarujący uśmiech i odbiegła, jak ptak spłoszony.

Nazajutrz rano Józja spotkała się na polnej drodze z Michnikiem, który dążył już do dworu uśmiechnięty i zadowolony.

— Jako to, pan nie pojechał? — rzuciła dziewczyna pytanie ze zdziwioną miną — Dlaczego?

Władysław zmieszał się, stracił odrazu całą pewnością siebie.

— Przecież... pani mówiła wczoraj, że woli... abym nie wyjeżdżał...

— Co?! Chyba się panu śniło! Więc to niby dla mnie pan pozostał? Stanowczo zbyt uprzejmości! Jeżeli o mnie chodzi, to może pan spokojnie jechać!

Michnik nie pojechał jednak i pozwalał się dręczyć dalej. Jakby potwierdzając teorie Józji o mężczyznach, znosił jej kaprysy z pokorą niewolnika, który nie próbuje się nawet buntować.

Przychodziły jednak chwile błogie, szczęśliwe, które wynagradzały go za wszystko. Józja stawiała się niekiedy cicha, łagodna, słodka, spokojna...

Wtedy rozmawiała z Michnikiem życzliwie, serdecznie, szczerze, jak z przyjacielem. Opowiadała mu o swoich przykrych stosunkach domowych, o swem życiu w Krakowie, o różnych zwątpieniach, marzeniach, nadziejach, które się jej przez umysł przewijały. Pytała go nieraz nawet o radę, a zakochanemu młodzieńcowi zdawało się, że raj się przed nim otwiera...

Ale Józja umiała go prędko z tego raj u wypłacać...

Czasem z charakterystyczną dla niej bezwzględnością szczerością zaczynała mu opowiadać o wielkiej miłości, którą przeżyła. Roztaczała przed nim obraz dni spędzonych z Konradem, nie zważając na to, że Władysław błędnie i wyłamuje sobie tak ręce, że aż palce w stawach trzeszczą.

Mlęczał jednak i cierpiał.

Dopiero od czasu przyjazdu Ludwika Rażyckiego zaczynało mu brakować cierpliwości.

Józja dotychczas miała wybór tylko pomiędzy Michnikiem a ośmnastoletnim praktykantem Olesiem i Zanieckim, który ją zrażał swoją beczelną zuchwałością.

(Ciąg dalszy nastąpi)